

Szkoła Turystyki Górskiej z Dziećmi - Wetlina 5-10 lipca 2009

Autor: Zygmunt Skibicki
13.07.2009.
Zmieniony 17.07.2009.

Umówiliśmy się pół roku temu i wreszcie nadszedł ten dzień, gdy spakowani w różnych zakątkach kraju podjęliśmy swe podróże do Wetliny. Czy będzie warto? Czy coś nam to da? Czy wywieziemy więcej dobrych niż złych wspomnień? Czy dalsza kontynuacja takich spotkań ma sens? Na te wszystkie i dużo, dużo więcej pytań dostaniemy już niebawem odpowiedzi. Samo życie nam je da.

3-ci lipca - piątek

Spotykamy się wieczorem w Łodzi i po lekkiej kolacji dojeżdżamy tylko za Sulejów. Północna kielecczyzna wcale nie jest już taka biedna i siermiężna. Domostwa i obejścia już jakieś takie… nietutejsze. Może to wszystko jest już wysprzedane i poprzerabiane na daczowiska? Mały i miły zajazd przy stacji benzynowej.

4-ty lipca - sobota Szybkie śniadanie i już pędzimy na południowy wschód. Kierunek Sandomierz, ale po drodze trafiamy na drogowskazy do Oblęgorka. Trudno nie skrócić.

Jesteśmy przy pałacyku Sienkiewicza dużo za wcześnie. O tej porze to wycieczki dopiero się budzą, potem jedzą śniadania, ładują się w autokary… Normalina.

Coś mam pecha do tego miejsca. Poprzednio trafiłem tu w czasie gruntownego remontu i też nie mogłem zajrzeć ani do środka, ani nawet obejrzeć otoczenie.

Obchodzimy pałacyk dookoła – park i zewnątrz siedziby pisarza okazują się całkiem ładne.

Przy bramie wejściowej czytamy tablicę informacyjną i prawdę mówiąc zapamiętujemy jedynie jakieś dziesięć procent zawartych tam informacji.

Przed Kielcami nawigacja lekko zgłupiała i poprowadziła nas skroś Łysogórskiego Parku Krajobrazowego. Może zresztą to moja wina, bo skręcając do Oblęgorka coś tam przestawiałem w opcjach nawigacji. Po znacznej dawce mocno krętych i wąskich dróg, ale za to sporej ilości ładnych widoków, w tym jeden wypadek na skrzyżowaniu, wjeżdżamy wreszcie do Sandomierza.

Wcale nas nie dziwi duża ilość samochodów z egzotycznymi rejestracjami. W końcu są wakacje a Sandomierz jest wart przyjazdu nawet z najdalszych stron świata. Pełne oflagowanie biało czerwone i biało żółte wskazuje, że coś się tu dzieje nadzwyczajnego.

Brama Opatowska, uliczka o tej samej nazwie i kościół p.w. Św. Ducha zachęcają, ale akurat trwa msza. Zaczynamy zatem od kawy i lodów w dobrze znanej kawiarni na rynku w byłej kordegardzie – bywałem tu ongiś służbowo i nigdy w tym miejscu złej kawy mi nie podano. No tak, ale lody to by mogli robić już mniej… zabytkowe.

Jacyś cudacko poubierani gwardziści co pół godziny krzykliwie zmieniali wartość przy rynkowym pomniku.

Cały ratusz poobstawiany kramarcznymi budami: mydło, powidło i pachnidło…

Przy pięknej pogodzie odnowione kamieniczki wokół rynku zachęcają do spacerów. Wkrótce się okazuje, co to za nadzwyczajna okazja obwiesiła domy flagami… ingres nowego biskupa sandomierskiego. Jakiś ksiądz kanonik pod kurią informuje nas, że obiad dla gości kurii będzie o czternastej. Pech, bo oczywiście katedra jest co najmniej do tej czternastej niedostępna. Jedyne wyjście, to połączyć po miasteczku i okolicach, aż się to święto skończy.

Zaczynamy oczywiście od metaloplastyków przerabiających unikalną w świecie odmianę krzemienia pasiastego na biżuterię. Bardziej nas jednak interesuje ów krzemień w jego kopalnej, a nie jubilerskiej postaci. Skutkiem takiego jawnego stawiania sprawy my "wylatujemy" natychmiast poza orbitę zainteresowań sprzedawców, o co zresztą akurat nam chodziło...

Trafiamy na kolejny unikalny zabytek – futra w murze obronnym z zachowanym tarasem odwachu. Ładna rzecz!

Schodzimy podmurnym zaułkiem w dół i trafiamy wprost na sandomierski zamek. Zwiedzać go jakoś nam się nie chce – za ładna pogoda. Na dziedzińcu zamkowym, w pobliżu studni znajdujemy dużą tablicę z opisanymi zabytkami miasta.

Uliczką Staromiejską docieramy do kolejnego kościoła p.w. św. Jakuba – ponoć najstarszy ceglany kościół w kraju. Trochę dziwi stricte barokowy chór i zupełnie płaska powała w sporej wczesno gotyckiej budowli, ale nic w tej świątyni nie razi. Oglądamy wewnątrz i próbujemy obejść obiekt z zewnątrz. Jest to jednak niemożliwe, bo przeszkadzają ogrodzenia. Trafia się wszak starszy pan z za płotu przyglądający się nam i… wszystko okazuje się możliwe. To emerytowany ksiądz, rezydent pobliskiego ośrodka szukając chętnych na pogaduchę sam otwiera bramę i zachęca nas do wejścia.

Potem kieruje nas jeszcze do kolejnego, barokowego już kościoła, który aczkolwiek zamknięty pozwala przez ładną kratę obejrzeć swe wnętrze.

Następnie za radą staruszka księdza kierujemy się do pół kilometrowego wąwozu lessowego św. Jadwigi. Ten pod Kazimierzem Dolnym nawet się do wielkości sandomierskiego wąwozu nie umywa.

Znów obchodzimy wokół zamek i okazuje się, że katedra jest już dostępna: sutanny, habity i poczty sztandarowe wszelkiej maści oraz proveniencji – głównie strażackie – wsiadały już gremialnie do samochodów. Znaczący, Sandomierz ma już oficjalnie urzędującego biskupa i katedra jest dostępna dla zwykłych wiernych oraz turystów. Znałem tę budowlę od dawna, ale tak duszno to nigdy tam nie było. Cóż – prawie cztery godziny tłum z niej nie wychodził. Czytamy, że nowy biskup to wręcz młodzieniaszek – nawet pięćdziesiątki nie ma.

Znów podchodzimy pod rynek i mijając siedzibę kurii wprost wchodzimy na Nuncjusza Papieskiego abp. Kowalczyka – za wysoki to on nie jest. Zjedliśmy obiad w byłym domu kompozytora Gomółki i – w drogę. Kierunek Sanok.

Nawigacja bez pudła podprowadziła nas pod skansen, ale z noclegami to jej już tak dobrze nie poszło. Trafiamy na hotel, ale trwa w nim wesele i brak miejsc. Kolejny hotel, do którego radzą nam zajrzeć jakoś nie – „funkcjonuje” na nawigacyjnej mapie. Wreszcie pozwalamy się poprowadzić nawigacji do znanego jej noc legowiska. Okazuje się to być – „Domem Turysty” – mniej więcej późny Gierek, ale przecież nie szukamy luksusów. Restauracja już nie działa, ale mamy co trzeba i na kartuszu butanowym improwizujemy własną kolację –

5-ty lipca – niedziela Do skansenu sanockiego wchodzimy bodaj jako pierwsi zwiedzający tego dnia. Oczywiście opadają nas przewodnicy, ale jakoś się od nich opędzamy. Wraz z biletami kupujemy za kilka złotych plan skansenu i ruszamy.

Sporo się tu zmieniło od ostatniego mojego pobytu, piętnaście lat temu. Coś tam się spaliło, coś dobudowano – Dwie godziny z małym okładem pozwoliło zapoznać się z budownictwem i sprzętami południowo-wschodnich rubieży kraju.

Zamiast słuchać – „chodzących magnetofonów” – poczytaliśmy z planu i kart przy każdym obiekcie tyle, że i tak tego wszystkiego nie spamiętamy. Świetną dla mnie nowością w tym miejscu okazała się obszerna i stosownie klimatyzowana wystawa ikon, w której spędziliśmy bodaj najwięcej czasu.

Przed dwunastą wsiadamy znów do samochodu i kierujemy się na Lesko, Cisnę – Pod Leskiem jeszcze zatrzymujemy się w przydrożnej kawiarni, gdzie wreszcie podają nam wspaniałe lody. Dalej już takich nie będzie na pewno –

Nawigacja jest wspaniałym udogodnieniem, gdy się jej kierowca słucha. Próbowałem być mądrzejszy i zamiast w niecałą godzinkę dotarliśmy do Wetliny po ponad dwóch. Śmignęło nas prawie dookoła zalewu solińskiego i wydostaliśmy się na obwodnicę pomiędzy Ustrzykami Dolnymi i Czarną. Dobrze, że była tam stacja benzynowa, bo mogło być mało sympatycznie.

Na umówionym polu namiotowym w Wetlinie było już sporo uczestników naszej imprezy. Niektórzy niestety musieli odwołać swe przyjazdy. Tak to bywa – trudno. Jedną z nich była Monika, która była na tyle wspaniałą kompanią, że będąc zmuszoną do odwołania całego pobytu z nami, wraz ze swymi synami przyjechała, szła całe przedpołudnie pod Tarnicą, ale wpadła do Wetliny, uściskaliśmy się serdecznie – musiała wrócić do domu. I tak było nas ponad dwadzieścia osób, co wcale nie jest małą ilością zważywszy, że dwójka najmłodszych z dzieci miała poniżej dwóch lat, a najstarsze czternaście –

Do kolacji pojawili się już wszyscy, zakwaterowali się i umówiliśmy się na najbliższe śniadanie i pierwszą wycieczkę.

6-ty lipca – poniedziałek Śniadanie o 7:30 – spóźniło się nieco, ale tuż po ósmej wyruszyliśmy. Jedna grupka pojechała bussem do Kalnicy, a reszta pieszo do Starego Sioła i żółtym szlakiem w kierunku Przełęcz Orłowicza. Oczywiście trafiliśmy na bramkę Parku Narodowego i trzeba było zapłacić myto – Gdzie tamte czasy, że nawet pies z kulawą nogą nie zaczepiał turystów? Najmniejsze „bączki” oczywiście wędrują w nosilkach. Łagodnym szlakiem wyszliśmy na połoninę, skąd rozciągały się szerokie widoki z niebem mocno popobwieszanym nie tylko białymi „barankami”..

Na przełęcz kolejne zaskoczenie – żywy filanc siedział sobie na ławeczce i właśnie wypisywał mandaty czwórce młodych ludzi, co to zapomnieli okularów i – „nie zauważyli” punktu kasowego. Słono im wyszedł ten brak szkielec. Pokazaliśmy swoje bilety wstępu i spokojnie zabraliśmy się do niesionych kanapek i termosów. Zrobiło się chłodno i każdy coś tam dorzucił na grzbiet.

Kolejny przystanek wyszedł nam już na Smereku, gdzie spotkaliśmy grupę naszych idących od Kalnicy. Maluchy okazały się bardzo dzielne – tylko najmłodsi zgodnie z przewidywaniem – „podjechali” – ostatnie stromizny na tatusiach – Nafotkowaliśmy się do woli, bo i pogoda temu sprzyjała. Wprawdzie całe niebo pełne było różnych baranków, ale przecież to na fotografiach wygląda ładniej niż – „blacha” –

Zejście połoniną nie zapowiadało pogorszenia pogody, ale krótko po wejściu w las zagrzmiało raz i drugi – zaczęło padać. Wprawdzie gęsty bukowy las chronił nas przed deszczem, ale były też i polanki na których – No, co tu ukrywać, dołało i nam.

W Kalnicy na asfalcie pilnie wypatrywaliśmy busa i szybko coś się znalazło. W kilka minut dotarliśmy do naszych domków. Dzieciaki trochę były padnięte, ale zanim zostały przebrane, już zdążyły się zregenerować.

Prognozy na kolejny dzień okazały się jeszcze gorsze i zapadła decyzja: wyprawa z maluchami na jazdę kolejką bieszczadzką i do Soliny. Fajnie, że są takie atrakcje na gorszą pogodę. 7-my lipca – wtorek Jak w górach prognoza jest kiepska, to pogoda na pewno lepsza nie będzie. Lało całą noc i rankiem też dużo lepiej nie było. Po śniadaniu udzieciowane towarzystwo załadowało się w samochody i pomknęło szukać atrakcji dla swych latorośli. Nie wszyscy jednak przyjechali z dziećmi. Ktoś nawet poszedł w góry…

Postanowiłem dokładnie przyjrzeć się nie tylko miejscu naszych noclegów ale i całej Wetlinie. W końcu nie byłem tam od piętnastu lat…

„Hotel Górski” niewiele stracił od swej nowości. Właściwie tylko budynek socjalny na polu namiotowym nosi ślady po lekko trącającym go rydwanie czasu. W dalszym ciągu jednak jest w pełni sprawny. Od zawsze było tak, że wystarczał on na niewielkie obłożenie pola namiotowego, ale też i w to deszczowe lato nie było tam tłoku.

Domki, w których mieszkaliśmy okazały się w nad wyraz dobrej kondycji. Mało kto uwierzył by, że mają ponad piętnaście lat…

Za to Wetlina zmieniała się bardzo. W miejsce starych dwóch sklepów i jednej budy handlowej powstało kilka naprawdę dobrze zaopatrzonych sklepów. Jest nawet coś w rodzaju marketu – może nie super, ale za to wystarczającej wielkości i rozpiętości asortymentowej – są nawet przewodniki, mapy i książki poświęcone regionowi.

Zamiast odwiecznego i sztampowego kiosku Ruchu są nawet małe galerie sztuki miejscowej. Ile ta sztuka jest warta, to osobna sprawa, ale tak po prawdzie to dość długo się zastanawiałem nad jedną płaskorzeźbą. Ostatecznie nie kupiłem, ale zdecydował o tym właściwie tylko brak odpowiedniego miejsca w domu.

Jadłodajni różnej wielkości nie policzyliśmy wszystkich, ale odwiedziliśmy i jedliśmy w pięciu i w żadnej nie nadzialiśmy się na cokolwiek kiepskiego. Smacznie miło i… nie drogo. Tanio to bywało kiedyś! No i wreszcie zawitały w Bieszczady busy! Długo to trwało zanim skopiowano dobry podtatrzeński wzorzec, ale wreszcie są i nie ma już potrzeby przed albo po wędrowce górskiej dokładać sobie ileś tam kilometrów po asfalcie. Jest tych busów nawet sporo, ale nie widać zakopiańskiego wyrwania sobie klientów… jeszcze!

Po długim rekonesansie całej Wetliny i Starego Sioła często z powodu deszczu przerywanym posiadami nad „zupą chmielową” zaświeciło wreszcie słońce, wrócili znajomi z dziećmi i zasiedliśmy pomiędzy naszymi domkami na wygodnych ławkach, na wszelki wypadek chronionych olbrzymim parasolem.

Jak im tam było w tej kolejce bieszczadzkiej i na podgubałówkowo zastraganowanej tamie solińskiej, to już oni pewnie opiszą w swych relacjach…

Fajnie jest być w górach z dziećmi. Choćby nie wiam ile deszczu się im na głowy wylało, wystarczy kilka promieni wieczornego słońca, by były zadowolone...

Prognoza na kolejny dzień za dobra nie była. Do czternastej miało nie padać… Trochę mało jak na wędrowkę z dziećmi, ale przecież żadnego wpływu na pogodę nie mamy. 8-my lipca – środa Tuż po śniadaniu zamawiamy busa na Przełęcz Wyżną (Przełęcz nad Berehami). Trochę ryzykujemy, bo bezdeszczowo ma być tylko do południa. Jakby co, to zejście z Przełęczu Orłowicza mamy już przeciwiczone - za trudne to ono nie jest.

Do busa ładuje się nas łącznie 14 osób z tym, że prawie połowa to dzieci.

Na bramce wejściowej stemplujemy swoje parkowe karnety i… książeczki GOT-u, bo wśród naszej dziatwy i nie tylko(!) zapanowała na to moda. No i bardzo dobrze.

Wyjście do „Chatki Puchatka” – co za kretyn wymyślił Lutkowi tę nazwę? – jest teraz po drodze jezdnej o wiele wygodniejsze i łatwiejsze, ale też dużo mniej ciekawe widokowo.

Inna sprawa, że wraz z wysokością gęstnieje mgła albo chmury. W każdym bądź razie widoczność spada do ledwie stu metrów.

Zawsze lubiłem to schronisko i jego "załogę", ale nazwę uważam za absurdalną.

W schronisku od razu pytam o Lutka. Na szczęście jest i zaraz podchodzi.

W plecaku przyniosłem dla niego „Lamę…” – trudno, by właśnie on nie otrzymał egzemplarza. Chwilkę gadamy, ale nie chcę robić żadnego halo wokół sprawy. Gdy zamawiam herbatę, okazuje się że „tego pana obsługujemy dziś gratis”. No i fajnie!

Za oknami robi się coraz bardziej „barowo” i ruszamy dalej. Na zewnątrz wieje już mocno. Kurtki, peleryny i wszelkie temu podobne same wyskakują z plecaków. Mija nas facet z wystającym z plecaka parasolem… Tys piknie!

Przy środkowej kulminacji połoniny pada już całkiem mocno. Krzychu ze swymi dwoma córeczkami nie cofa się jednak i idzie z nami – odważny facet, ale wzbudza zaufanie. Nie wygląda na to, by nie wiedział, co robi…

Północno zachodnia kulminacja połoniny to już walka z wiatrem, poziomo padającym deszczem, a nawet częściowo drobnym gradem. Cholera wie, czy to na pewno grad, ale takie białe kuleczki odbijają się od kurtek, a gdy trafiając w twarz, najnormalniej boli. W dodatku szlak mocno kręci pomiędzy śliskimi

głazami. Teraz to już bliżej nam do przodu niż do tyłu!

Nie ubrałem w schronisku spodni i teraz po getrach cieknie mi woda. Pewno za jakiś czas wcieknie pod stup tuty i dalej spłynie do wnętrza butów. Trudno, głupota musi być ukarana!

Poniżej odejścia na Hnatowe Berdo spotykamy idącą w przeciwną stronę trójkę w normalnych miejskich sandałkach. Jedna pani ma nawet w nich skarpetki białe... kiedyś. Nie wytrzymuję i coś tam ostro kąśliwego rzucam, ale przecież to i tak nie skutkuje.

Na Przełęczy Orłowicza chwilę się zatrzymujemy – kawa, kanapki... Już nie siecze tak jak na połoninie, ale całe niebo jest szare i nic nie wskazuje by wyjrzało słońce. Jedna z naszych kurtek "puściła", więc nie popasamy zbyt długo. Znowu spotykamy jakiegoś parasolnika. Ten ma aż dwa parasole wystające z plecaka. Dobrze, że ich nie rozkłada.

Na połoninie jeszcze pół biedy, ale niżej w lesie szlak im niżej, tym staje się coraz bardziej błotnisty. Wreszcie płyną nim całkiem spore i żwawe, mętno beżowe strumyki. Mało kto zwraca na to uwagę – po prostu idziemy tymi strumykami. Oczywiście okazuje się, że nie wszystkie buty mają stosownie mocną impregnację. Zresztą, co za różnica: przez skórę czy od góry dostała się woda do butów, gdy już w środku chlupie? Chlupania nie czuję, ale i sucho w moich butach, to już... było. Zwalniam, bo dręczy mnie, jak też radzi sobie Krzychu z dwoma córkami – tylko on z naszych został za mną. Telefon jednak nie dzwoni, więc pomocy nie potrzebuje... raczej.

Przy budce wejściowej do parku spotykamy "naszego" filanca. Nadal w "krótkim rękawku" i ocieplonym bezrękawniku, ale tym razem już w wysokich kaloszach wybiera się właśnie na górę. Niektórzy to mają jednak ostro narobione na "antresoli"!

Już na płaskich łąkach dostrzegam za sobą Krzycha z dziewczynkami. Całkiem dziarsko poradzili sobie z niemalą w końcu ulewą – ulga! Teraz szybko do asfaltu i busem do naszych suchych gratów! Zjeść by się też coś ciepłego przydało... Pogaduchy, pogaduchy, pogaduchy...

A wieczorem...

Po półdnie zlewie bezczelnie wyszło słońce łudzając purpurą zachodu, że kolejny dzień będzie piękny. Potwierdzają to internetowe prognozy szczegółowe...

9-ty lipca – czwartek

Niestety Artur z rodziną musiał wyjechać. Mieli zupełnie zgnojone buty i nie mogli iść w góry.

Wyprawa na Rawki i Dział była liczna i jak się później okazało bardzo udana. Kolejna grupa zdecydowała się na przejście Połoniny Wetlińskiej i im też się udało uniknąć deszczu. To znaczy deszcz lunął, ale dopiero gdy wszyscy siedzieli już w samochodach i busach – fart!

Kilkuosobową grupą wybraliśmy się na kolejny rekonesans po Wetlinie. Znaleźliśmy fermę kozia i zupełnie dobry stamtąd ser kozi. Niestety nie tak dobry jak ten serwowany nam w Hotelu Górskim, ale też smaczny.

Tegoroczne lato jest tak mokre, że w każdym możliwym miejscu wybijały wszelkie możliwe zielska, a osty wysokości grubo ponad dwa metry rosły dosłownie wszędzie.

Znalazłem i coś takiego, ale zupełnie nie mam pojęcia, co to za roślina?

W "Jadłodajni" zjedliśmy bardzo dobry obiad.

Nie tylko smacznie tam gotują, ale i ładnie ozdobili wnętrza...

Udało się także trafić na otwartą już w południe "Bazę Ludzi z Mgły" – całkiem fajny lokal. Trochę zajazd, trochę pub... klimat wyśmienity. Niestety byliśmy tam krótko po sutym obiedzie i nie dało się sprawdzić smakowitość ich kuchni.

Wieczorem, po popołudniowym deszczu znowu zaświeciło słońce, ale trzeba się było już spakować, bo to był nasz ostatni dzień w Wetlinie.

Oczywiście, jak na wszystkich takich poprzednich spotkaniach każdy z chętnych uczestników otrzymał moją najnowszą książkę - "Marsze z kijkami". Trochę się zdziwiłem, bo większość już ją... miała. Nie da się ukryć, że to było miłe zdziwienie.

Niektórzy wymienili się adresami, co daje nadzieję na kolejne spotkania, może także... górskie. 10-ty lipca - piątek Śniadanie, ładowanie się do samochodów, pożegnania - niektórzy już zapowiadają udział w kolejnych takich spotkaniach, a potem kilometry jazdy do zwykłej codzienności każdego z nas.

Cóż, nic nie trwa wiecznie. Kiedyś także kończy się nawet przysłowiowy... deszcz w Cisnej. Wszystkim uczestnikom składam serdeczne podziękowania za udział w tegorocznej edycji STGzD. Nikogo z ponad dwudziestki nie chcę wyróżniać, bo wszyscy w jednakowym stopniu przyczynili się do tak miłej atmosfery, że nawet dwie poważne zlewy w górach nie popsują nam humorów.

Nie wiem jak inni, ale ja jestem zadowolony z tego spotkania. Pewnie gdzieś około grudnia pomyślę o kolejnym takim. Gdyby jednak ktoś wcześniej wpadł na pomysł fajnego miejsca, w dodatku nadającego się na pobyt z dziećmi, proszę przysyłać propozycje. Im więcej pomysłów, tym lepszy może być wybór. Jeszcze raz dziękuję Wszystkim - Adzie i Jackowi z Tymkiem, - Wiesi i Darkowi z Igą i Kubusiem, - Asi i Darkowi, - Asi i Jakubowi z Izą i Kasią, - Gosi i Arturowi z Madzią i Piotrusiem, - Krzychowi z Emilką i Mają, - Asi i Jarkowi, - Ewie.

Do Miłego Widzi-my-się !!! A skutek tej obszernej relacji jest taki, że mój syn zaczyna mnie namawiać na

bardzo indywidualną STGz... jego trzyletnim synem, a moim wnukiem Stasiem i to jeszcze tego roku na początku września. Mój wnuk Stanisław w barwach wojennych... Nieodwołalnie zbliża się jego górski chrzest.
O kurcze! Może być rewelacyjnie...
Jasne, że pojedę z nimi...!